

Piotr Müldner-Nieckowski

Nocne z Tadeuszem Nowakiem rozmowy¹

(Fragment dziennika i wspomnień)

Tadeusz Nowak mieszkał już wtedy w Warszawie, na Ursynowie, przy ulicy Wiolinowej 2 m. 45, i odbierał telefony pod numerem 437133. Umówiliśmy się na spotkanie u Mariana Grześczaka, 1977, chyba w lipcu. Zaaranżował je Krzysiek Karasek, który jednak w ostatniej chwili z jakichś powodów musiał zrezygnować z przyjścia (co odrobiliśmy w terminie tak zwanym późniejszym). Chodziło głównie o to, żeby wesoło pobyc z żoną Mariana, Krystyną [Gawrońską-Grześczak], znakomitą, niezwykle oryginalną artystką malarką, która już wtedy była ciężko chora [na rok przed śmiercią], ale jeszcze znajdowała się w stanie, jak sama to nazywała, używalności. Uśmiechnięta, wpatrzona w Mariana, dumna z dzieci: Ingi i Szymona.

Było to w wieżowcu przy skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej, numer 35 m. 200, piętro chyba aż 22., najwyższe [w XXI wieku Marian mieszkał już pod dwoma innymi adresami, na Ursynowie i w Żąbkach – przyp. P.M.N.]. Bywałem tam często, najpierw ze względu na Krysię, potem dzięki przyjaźni i wzajemnemu wspieraniu się w trudnych sprawach. Z okien kapitalne spojrzenie z góry na środek Warszawy, wydawało się, że nawet Polski. Grześczakowie za sąsiadkę mieli znajdującą się na tej samej kondygnacji stację zagłuszania Radia Wolna Europa. Nikt nie wiedział, że tam to jest. A było prawdopodobnie ze względu na wysokość budynku. Oni sami dowiedzieli się przypadkiem po kilku latach mieszkania, tak dobra była wokół tego konspiracja.

Pewnie dlatego jazdy windą były tam kontrolowane przez specjalnego ciecia. Każdy portier był tam tak wytrenowany przez służby państwowe, że nie ruszając się z miejsca ani nawet nie wierząc głową, nie podnosząc jej znad gazety, widział, co się dzieje wokół. I miał świetną pamięć. Po trzech, czterech takich jazdach danej osoby do Mariana wpuszczał już delikwenta bez pytania i sprawdzania dowodu osobistego lub paszportu (nie wystarczył dowolny „dokument ze zdjęciem”), zerkając jedynie, czy przybyły figurant nie niesie czegoś ciężkiego w kształcie futerału do szerokich skrzydeł z magazynkiem albo pojemnika na jabłka podobne do granatów. Tadeusz Nowak był sprawdzany po raz pierwszy, więc miał trochę kwaśną minę, ale po wyjaśnieniach Mariana i Krysi poczuł się lepiej. Niektórzy mieli lepszą ochronę w Warszawie niż inni, on – jak z tego wynika – miał.

Rozmowa zesłała na trudności, które Marian ma z pisownią swojego nazwiska, przeważnie pisanego w formie „Grzesiak” albo „Grzeszczak”, rzadko poprawnie. Właśnie dostał serię listów z takim nazwiskiem w adresach. Nie odzywałem się, bo przy moim nazwisku z dwoma kropkami nad „u” jego problemy to po prostu bedłka (dziś zwana betką), ale Krysia zauważyła, że jeśli artysta chce być znany, to powinien się nazywać jednak łatwo. Łatwiej niż ona. Nowak zaoponował:

– Jak ma się tak proste i powszechne jak ja, to też nie jest ani wygodnie, ani reklamowe. Byłem na spotkaniu autorskim w warszawskim GUS-ie i tam usłyszałem, że teraz Nowak to numer jeden w Polsce. Wiśniewscy spadli liczbowo na trzecie miejsce, a Kowalscy są na piątym. Tylko że ja to słyszę stale i nic z tego nie wynika.

– Bo ty jesteś uprzywilejowany – powiedział Marian – ponieważ zepchnąłeś wszystkich Tadeuszów na drugi plan, a Nowaków na koniec kolejki. Nic z tym nie rób, bo musiałbyś zaatakować biblioteki, a najgorsze, że Instytut Badań Literackich. Wyobrażasz sobie, ile kosztowałyby ich korekty samych fiszek, nie mówiąc o wykazach pisarzy?

¹ Tekst ukazał się pod tym samym tytułem w: *Twórczość* 2021, nr 7-8, str. 136-145.

- My się znamy? – odwrócił się Nowak do mnie. – Chyba tak, ale jak pana nazwisko?
- Müldner-Nieckowski.
- *Igła*.
- To znaczy?
- Józek Baran powiedział, że napisał pan wiersz pod tytułem *Igła*.
- Tak.
- Ma pan to przy sobie?
- Nie.
- Co pan taki lakoniczny? – nie rozumiał, że mogę być stremowany jego obecnością.

Choćby po lekturze quasi-poetyckiej powieści *A jak królem, a jak katem będziesz*.

W dodatku bez ustanku brzmiała mi w głowie i zagłuszała mnie, głuchego, fraza, którą wypowiadała podniecająca ONA: „A jak będziesz królem, to będę królową. A jak katem będziesz, to katową będę”, co może trochę naiwnie traktowałem jako jeden z lepszych i sprytnie niewidocznych chwytów pisarskich, który sobie nazwałem za pomocą formułki: przekształcenie dopełniające obrazu definicji. Między innymi to mi chodziło w myślach, kiedy siedziałem naprzeciw Nowaka.

To takie urywki zdaniowe decydują o tym, czy proza wciąga, czy też pozostaje zamknięta na wrażliwość czytelnika.

Tak, tak... – patrzyłem na niego nieśmiało...

– Pan też dosyć skąposłowny – powiedziałem w końcu. – Byłem świadkiem, jak postanowiono o obcięciu panu nogi. W gabinecie profesora Nielubowicza. Stamtąd może pan pamiętać mój wygląd. Wąsy miałem te same. Pan też.

– Piotr jest lekarzem – powiedziała Krysia.

– To możliwe, bo twarz nie jest mi obca – mruknął Nowak.

– W roku mniej więcej 1968-1969 widziałem pana – powiedziałem – kiedy jeszcze jako członek studenckiego Koła Chirurgicznego przy I Klinice Chirurgicznej Akademii Medycznej w Warszawie, w budynku przy Nowogrodzkiej, wraz z kolegą Andrzejem Opertowskim asystowałem Janowi Nielubowiczowi podczas śródowych konsultacji udzielanych klinikom z całego kraju. Pan był jednym z „przysłanych przez Kraków”, ze Związku Literatów. Pielęgniarka powiedziała nawet z sensem: „to ten pisarz królem katem będziesz”. A to mnie postawiło na baczność. Naprawdę. I jeszcze rozpoznanie. Koszmarne. Brzmiało: „Bürger. Choroba Bürgera”. Klasyczna, nie żadne starcze „miażdżycowe zarastanie tętnic kończyn dolnych”. Miał pan około czterdziestu lat, młody człowiek... więc ale było to wielopunktowe uszkodzenie, rozsiane w całym układzie krążenia, spowodowane przez zaburzenia metabolizmu i przepływu krwi na skutek palenia papierosów. „Czy jeśli przerzucę się na palenie fajki, to coś zmieni?” – zapytał pan profesora, a ten kiwnął głową, że nie. „Ta noga jest już stracona, niech pan nie przeciąga terminu operacji, bo będzie coraz gorzej. I koniec z paleniem”.

I rzeczywiście, wkrótce Tadeuszowi Nowakowi nogę odjęto. Mimo to nie umiał zwalczyć nałogu. Tak jak my wszyscy, Marian, ja... Przeważnie oszukiwał się, jak my wszyscy. Używał fajki, ale ta, jak wiadomo, niewiele zmniejsza trucie się dymem, a poza tym w czasie pisania nie daje tych słynnych „przerw na myślowe budowanie akapitów”. Co wdech za pośrednictwem papierosa, to nowy wspaniały wiatr myśli i oszałamiający łopot zdań.

Tadeusz miał szczęście, że trafił na Zosię [Iwańską-Nowak], z którą się wkrótce ożenił. Kobieta silną i zaradną. To ona stawiała go niczym dziecko do pionu. Karmiła, ubierała, wjeżdżała z kolejną kawą tak, że pisarz, znajdujący się w innym świecie, nawet tego nie zauważał. Uczyła chodzić. Mówiono, że jest z zawodu pielęgniarką, ale nigdy jej o to wprost nie zapytałem, więc nie mam pewności, czy miała przygotowanie medyczne. Umiała wymienić żarówkę i dokręcić kran. Miała instynkt trenerski. Charakter opiekuńczy również. Stanowcza, bystra, potrzebna, zawsze wiedziała, kiedy nie powinna się wtrącać i stawać z

boku tam, gdzie nie jej kompetencja, ale zawsze mimo to idąca pół kroku z przodu. Musiała. To ona załatwiła Tadeuszowi pooperacyjną rehabilitację w najlepszym ośrodku krajowym w Konstancinie, choć nie uważała za stosowne, aby to wszem wobec komunikować. Wiedziała, że profesor Nielubowicz wydał wyrok: „Pożyje pan mniej więcej dwadzieścia lat, tyle, na ile pozwolą naczynia wieńcowe”. To się niestety sprawdziło co do joty. Pogrzeb odbył się na Starych Powązkach w sierpniu 1991. Był tłum. Znakomicie mówił między innymi Wiesław Myśliwski, jak to on, niestandardowo i zarazem budując prawdziwą etykietę (cytuje za www.Culture.pl – P.M.N.): „Twórczość Tadeusza Nowaka w literaturze polskiej XX wieku sytuuje Go w szeregu takich twórców, jak Bolesław Leśmian, Bruno Schulz czy Leopold Buczkowski, i nie dlatego, że łączyły Go z nimi pisarskie pokrewieństwa, lecz dlatego że był tak samo osobny jak oni. Tak samo jak oni stworzył własne słowo *świat*, własną *baśń* o ludzkim istnieniu, cierpieniu, miłości, przemijaniu, która najwyższy swój stan osiągnęła w takich Jego utworach, jak *Psalmy* i *A jak królem, a jak katem będziesz*. A stworzyć *baśń* – to sięgać ideału literatury”.

Ale wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy, jeszcze wówczas nie miałem zdolności wyznaczania przyszłych dat (teraz też jej nie mam, ale mniejsza o to, wkrótce będę miał). Rozmowa jednak coraz bardziej schodziła na eschatologię i rozprawialiśmy, jak sobie radzić z tym, że jest to dziedzina najbardziej aprioryczna spośród wszystkich filozofii przypuszczeniowych, jakie ludziom przyszły do głowy. Jeszcze bardziej niż angelologia (lista naszych aniołów to Mariana Krysia, Tadeusza Zosia i moja Małgosia, [a teraz też Mira]).

– Religia jest bardzo surowa, ludzie jednak z konieczności ją po swojemu ułatwiają. Ale nie Kościoły. Przez Kościoły jest utrudniana, usztywniana, a przez Katolicki szczególnie – powiedział Nowak. – Coraz bardziej schematyczne kazania. Językowo coraz uboższe, coraz mniej kolokwialne i potoczne, wręcz brzmiące obco, staro, często sztucznie, książkowo szeleszczące. Nieprzytulne.

– Prawda.

– Religia dzisiaj jest zbyt surowa też etycznie, przykazań nie potrafi rozwijać po ludzku, dlatego przez wielu nie lubiana. Bo się boją grzechu? Kary za grzech? Nie wiem, ale tu religie są niekonsekwentne. Niech będą wymagające, nie umieją jednak pokazać, że ich przedstawiciele instytucjonalni, duchowni, są godni wygłaszania przestróg, nakazów i zakazów. Wielu nie jest, więc przestroga albo nie jest słuchana, albo jest nieznośna. I nienośna. Zawsze próbowałem ten stan zmienić, choć miałem świadomość, że poezja dociera do nielicznych. Ale mam kilku księży zwolenników.

Po pierwsze religia posługuje się drastycznie banalnym banałem, silnią banału czy też banałem do kwadratu, gdy powinien to być pierwiastek trzeciego stopnia – mówił dalej Nowak. – Nudzi jednakowością opisu, niedokładnością nazywania tego, co duchowe i zarazem boskie, a co ziemskie, wreszcie wprowadza w błąd uproszczeniami słownymi, frazeologią w rodzaju adresu „Ukochani w Chrystusie!” albo upomnienia „Jezus tego nie wybacza”. Musi być tego oprawa, objaśnienie, jakiś cień emocji i zarazem powagi, ale i radości, i poczucia obowiązku. Okrasa. Brak okras. Nawiazanie do otaczającego świata i do światów niewidocznych, niesionych przez mity. Pompa, patos są czasem tak zabójcze jak żart nie na miejscu.

– Za dużo od nich wymagasz, to nie poeci – wtrącił Marian.

– Nie wymagam od nich, tylko od siebie, ale najpierw muszę wiedzieć, czego żądać, więc o tym teraz mówię. To chyba wszystko wynika z tego, co już napisałem, ale chcę skonsolidować.

A to wszystko – ciągnął Nowak – jest takie smutne, jednakowe i zwyczajnie nudne. Tymczasem metafizyka poetycka jako odpowiednik filozoficznej jest ratunkiem, z którego postanowiłem korzystać tak długo, jak długo znajdowałem natchnienie dzięki konfrontacji ze światem wsi. Świat ten jednak zbyt często podszywał się tylko pod wieś, oszukiwał, kłamał.

Ludzie są niesolidni i głupi, sądząc, że wszystko idzie ot, tak sobie, jak wieje wiatr, że zmiana miejsca pobytu zmieni ich także, więc symulują bycie w mieście. Nie, to idzie tak, jak ludzie chodzą właśnie na co dzień. Nikt nie wierzy, że komunizm upadnie, a Polska oddzieli się od Rosji. Bo moim zdaniem nie upadnie, to się za bardzo ukorzeniło, za to religia powoli się cofa pod pewnym naciskiem tego systemu. System metodycznie zakłamuje, co jest czym, wmawia rzeczy, które nie istnieją i ludzie zaczynają w to powoli wierzyć. Aż uwierzą, że wiary nie ma.

Ale jaka to miałyby być językowo, poetycko oprawa życia, bytu, aby miała pozwolić ludziom pozostać wiernymi jądro, wierze, wiedzy o świecie prawdziwym? Która oprawa? Bieda moralna w mieście polega na tym, że odziera nas z wyobraźni, dając szklano-betonowo-żelazny obraz świata nienaturalnego jako zastępstwo prawdy o naturze; świat już jakby zanadto przetworzony, gdzie na naturalność, gdyby się pchała, nie ma miejsca. Wieś jeszcze się jakoś trzyma, ma zaplecze widmowe, mitologiczne, roślinne, sarnio-zające. Ma ludki, krasnale i diabliki. Najwięcej dobra, a raczej najmniej zła jest w roślinach, one z nikim i niczym nie zawierają żadnych paktów, są samodzielne, choć łatwe do zniszczenia. Godzą się na swój los, bo są fizycznie słabe (trucizny same do ust wroga się nie zapraszają, trzeba je przenieść, a tego kwiat nie robi), ale za to ich siłą jest zdolność odrastania i wrastania wszędzie, gdzie się da. W mózg też. Na tej ich zdolności można na razie polegać. Chyba że świat się przeludni i rośliny wdepcze na powrót w piach.

Miałem problem – mówił Tadeusz – bo musiałem się wydostać z pułapki zastawionej przez ludzi, z potrzasku socrealizmu i uwikłań, które mnie pochwytyły bardzo szybko jako chłopca ze wsi i potem bursy, i z którymi nie umiałem sobie poradzić. To był dyktat, który wydawał mi się naturalny, bo nie było alternatywy: jak należy myśleć i pisać (a tak i tak, i na tym koniec!), przynajmniej w wersji publicznej. Wszystko to, żeby w ogóle przetrwać, żeby cię wpuścili do szkoły, na uniwersytet, a potem i do gazety, wydawnictwa. Oni to mówili wprost, bądź posłuszny, a włos ci nie spadnie. Więc powrót wyobraźnią, wiedzą i myślą na wieś, zwłaszcza między trawy, zboża, kwiaty, chwasty, jadalne pokrzywy i niejadalne osty, ale też językowo, z gadek przy płocie albo ze starych pieśni – tak, ten powrót okazał się swoistym lekarstwem, choć nie panaceum. Nic tak nie leczy duszy, jak powrót do korzeni. Nie opowiadam, jak tam było u mnie w domu, nie chcę tych rozmamłanych automatów, ale to powiem, że moim marzeniem było uciec z dzieciństwa, z niego do świata, który był tuż obok, ale którego jednak nie znałem jak należy, a który mnie fascynował innością.

Zawiodłem się i nauczyłem dostrzegać ten zawód (nie mylić z profesją), dopiero jak w pełni dorosłem. Dużo mi dała krótka i jedyna taka rozmowa na schodach w domu przy Krupniczej z Irkiem Iredyńskim przy tajemniczo smutnej Maszy, która założyła mu z tyłu ręce na szyję i tak doń przytulona na nim wisała. Kilka słów ni to żartu, ni to przestrogi, a jednak było to wezwanie do otwarcia się na bunt. Nie powtórzę słów, ale sens był taki, że trzeba się całkowicie oddzielić od polityki. Znać ją, jej posunięcia, draństwo, nieliczenie się z człowiekiem i jego życiem. W ogóle nie realizować tego w twórczości, bo to zabija każdy cień talentu, o ile jakiś jest. Wtedy narodził się mój Bóg, nocą, z mojego żebra. Tak to potem, dosłownie po godzinie, napisałem w wierszu. Z żebra. Trochę Pana Boga wyręczyłem. Musiałem jakoś okrężną drogą wrócić do mojej posługi partyzanckiej, i do Kościoła, niekoniecznie instytucjonalnego. Ale do tego, który jest w ludzie, w jego zbiorowym myśleniu, w obyczajach, sposobach bycia człowiekiem między niebem a ziemią, a czasem pod ziemią. To wtedy stopniowo odpadały ode mnie łuski jaszczurczej skóry uwikłania w system, który jest nieludzki i co gorsza, polityczny. A polityka, jak wiadomo, z prawdą nie ma nic wspólnego. Myślę, że Wierzbak za to mi dał nagrodę, Marianku.

– Myślę, że nie tylko za to – powiedział Marian, w końcu współtwórca poznańskiej grupy poetyckiej Wierzbak i inicjator nagrody. – Za to, że jesteś Nowak. To znaczy za wiersz, który nie ma w sobie ani przekory, ani ironii, ani parodii: „Czego się nauczyłem u Boga i ludzi”.

– Najlepiej to wiedzą trzej panowie na „B” – odparł Tadeusz – Stanisław Balbus, Henryk Bereza i Jan Błoński. Szanuję ich nadzwyczajnie, choć miewają różne o tym zdanie, czasem mi przeciwne, takie dla otrzeźwienia.

Że z religią tak jest, dowód dajesz, moim zdaniem przekornie, Grześczak, kiedy ze wsi wychodzisz, dosłownie – umykasz od roli pszennej do roli w mieście, do miasta, w którym zobaczyłeś coś koszmarnego, mianowicie zaprzeczenie natury. Nie wiem, co ty na to, ale moim zdaniem pomyślałeś, że jest możliwe „uczłowieczenie” miasta. W „Lumpenezjach” jest właśnie poszukiwanie mitu miejskiego, tego powietrza, które łączy świat idei ze światem rzeczy, tej religii, która rządzi strukturą zabudowaną cegłą, smołą i betonem, żelazem. Tam też chyba jest miejsce na mit? Na metafizykę? Nie wiem, kiedyś może do tego dojdę medytacją poetycką. A ty, Marian, co powiesz?

– Mów swoje – odparł Grześczak.

Z drugiej strony wiejskie otoczenie człowieka – kontynuował Nowak [tu akapit odtwarzam z pamięci, bo ołówkowy tekst w moim kalendarzyku jest częściowo zatarty i brakuje jednej karteczki, ale prawdę sensu gwarantuję – P.M.N.] – daje złudzenie, że wyobraźnia może uzupełniać brak świata naturalnego czymś pozbieranym ex nihilo, znikąd, od początku do końca wykoncypowanym. To błąd, fatalny, nieludzki. Tak tworząc, myślał Leśmian, ale ja tak nie myślę. Na przykład Lewis Carrol też tak nie myślał. On Alicję wziął z podwórka czy z ulicy prawdziwą i dał jej to, co na tej ulicy może się stać, tylko pod przybraniem. Leśmian natomiast wymyślał opowiadki, które z mitem wiejskim czy miejskim się nie łączą, są tworem osobnym. To Leśmianizmy, nic więcej, piękne, ale zapełniające wyobraźnię może samego Leśmiana, a czytelnika tylko bawiące zmysłnością pomysłów, motyli, duszków, wodników i duchów, i jednak *nie czuciem i wiarą*, jak by chciał Mickiewicz. Nie pełnią funkcji społecznej. O, tak, Mickiewicz wiedział, jak się poezję łączy z polskością, naturą, wsią, Bogiem. Szkoda, że nie dokończył pisania poematu „Kartofla” i że nie zachowała się większość choćby fragmentów tego, co napisał. A było tam i tak: „Niebo, ceniąc rolnika dostojne kłopoty, / Łaskawymi tę ziemię uzacnia przymioty”. Wystarczy tego skrawek, który opublikowano po drugiej wojnie światowej, by rzecz zrozumieć jako wskazówkę, przynajmniej jako zaczyn pierwszego kroku. Nie można bowiem polskiego świata wypełniać arabskimi bajkami z tysiąca i jednej nocy, a dzisiaj ponadto – zwłaszcza tymi od kultury propagandowej Stalina.

[Może dlatego w latach 80. Tadeusz Nowak stał się ostry, przenikliwy, drapieźny jako obserwator tego, co się dzieje w Polsce i z Polską, a szczególnie z jej ludźmi. Stanisław Balbus (w posłowie do: Tadeusz Nowak, *Bramy czułości*, 2006) komentuje to tak: „Ukazawszy w *Pacierzach i paciorkach* dewastację metafizycznego rdzenia kultury, podejmuje poeta próbę zbudowania poetyckiego modelu metafizycznego o b o k tamtej ruiny. Ale nie ma powrotu do *Psalmów*. Pojawia się jakaś ascetyczna resztówka dawnego przyrodniczego bogactwa. Tylko kilka szczątkowych składników dawnego Nowakowego mitopoetyckiego świata (wody, nieliczne ubogie rośliny) nosi nikłe ślady panteizmu” – przyp. P.M.N.].

Nowak dokończył tamtą tyradę mniej więcej tak:

W ogóle pisanie powinno być o tym, co musi być, a co nie; co wolno, czego trzeba, a czego nie. To idzie niejako samo, ale tak, żeby czytelnik niekoniecznie wiedział, że mu się opowiada taką prawdę o ludzkości. Niech nie wie, niech za to czuje i wierzy. Jest we mnie ułożone *jakieś a priori*, abym je konfrontował z rzeczywistością za pomocą poetyckiego badania, by prowadzić ku *literackiemu a posteriori*. Zresztą w praktyce nie składam myśli filozoficznie, to nie moja natura, no i nie ma takiej potrzeby. To ma być naturalny odruch twórczy. Istnieje natura człowieka – w tym wypadku moja jest dobrym jej fantomem – i to jest ta sfera bezpieczeństwa prawdy. Wystarczy w nią wierzyć, jej ufać, a zobaczysz – jeden z drugim – jak ci się świat otworzy! Sam rozłoży nogi!

Po jakimś czasie, pobudzony naszymi dokołastolnymi rozmowami, znowu zaczął mówić: Możesz zapisywać [to uwaga do mnie – P.M.N.], bo ja to już nieraz głośno wypowiadałem, żeby nie zwariować. Otóż otwieram się na to, co ma być przelane w dół długopisu, ale też na papier i dopiero w momencie napisania, a więc jednak po „przebudzeniu”, w chwili zakończenia prac tego dnia, następuje zatrzaśnięcie. I znów jestem tu, przed wami na przykład, gdzie indziej, patrzę na pigułkę w skorupce orzecha wiersza i tylko się domyślam, co jest w środku. Aby się dowiedzieć, muszę zajrzeć pod zakrywkę, a nie ma tam dziurki z zatyczką, to jest gruba skorupa. Skorupsko. Jeśli zauważę jakiś błąd, na przykład literówkę, to muszę te skorupy cierpliwie odmykać i odcinać się od tego, co jest na zewnątrz, bo nawet literówki nie da się poprawić, stojąc jedną nogą tam i drugą, w dodatku zaprotezowaną, tu. Nie da się.

Nie jestem redaktorem swojej poezji, nie chcę być i nigdy nie będę. W tym Zosia jest po stokroć lepsza. Jeśli powie „nie rozumiem”, to znaczy, że mam otworzyć orzeszek i podłubać. Wtedy dopiero widzę, że ten świat jest laicki tylko z pozoru, każdy wierzy w jakiś typ Boga, większość w Boga zawczasu opracowanego, takiego do spożycia albo użycia jako maski, ale nawet jeśli nie w takiego, to dla nich to właśnie bywa boskie, że nie ma Boga, a jest tylko bóg (małą literą). Mają to nawet w języku: „Byliśmy na boskim filmie” – mówią. Dla mnie to było bardzo ważne, chciałem się wyzwolić z kagańca, który mi nałożyła najpierw szkoła, a potem tak zwana partia, czyli PZPR. Za odstępstwa można było nieźle oberwać.

Z tego nie było wyjścia innego, niż pisanie prawdziwego siebie. To się szybko zaczęło sprawdzać, i co ciekawe, przez to, że pozbyłem się nieudanego sztafażu kościelnego, pozostałem jakoś w Kościele, a partyjniacy dostrzegli w tym także furtkę dla siebie. Tak, uważam, że dałem partyjniactwu wskazówkę, gdzie jest przejście pod ogrodzeniem. To był punkt pierwszy. Oni to uprzejmie nazwali moim pierwszym-drugim debiutem. Tak nazwano tomik „Prorocy już odchodzą”. Tytuł zwodniczy, właściwie kpiarski i groteskowy, jak ktoś zauważył.

Tak wtedy mówił. [Słowa Mariana Grześczaka przerzuciłem do innego rozdziału; są w tej chwili w opracowaniu].

[1992, po pogrzebie Tadeusza Nowaka na Starych Powązkach, chyba wrzesień]

Nie minęła chwila, nie więcej niż jakieś jedenaście lat, gdy nastąpiła zmiana władzy, jak podejrzliwie sądzono, pozorna (myślano nawet o kolejnym nieludzkim podstępie ze strony sowieckopodobnej komuny, która niby ustąpiła, ale ciągle była niemal ta sama, bo to jest w ludziach, było tylko parę nowych nazwisk, a i tak znanych i przez ludzi z podejrzliwością sądzonych...), ale jednak zmiana polityczna taka, która pozwoliła na odblokowanie niektórych zakazów i barier.

Najpierw jeszcze przypomnę, że jak wiadomo, władza „ludowa” w kwietniu 1983 roku zlikwidowała Związek Literatów Polskich, aby wkrótce uruchomić zapisy do nowego ZLP. Do (byłych już) członków ZLP dzwoniło, zachęcano ich, słano wici, w prasie eksponowano chętnych do stanowiska prezesa Halinę Auderską i Wojciecha Żukrowskiego. Mówiono, że „powrót” do „odnowionego” ZLP będzie opłacalny.

Zdecydowana większość pisarzy do neo-Zlepu (jak w kularach nazwano nowy ZLP²) jednak się nie zapisała, nie uczynił tego również Tadeusz Nowak. Takie zachowanie dla wielu było niebezpieczne ze względów materialnych, dla innych niestosowne z powodów moralnych, ale część, przeważnie lewicowa z przekonań, poszła po stanie wojennym na ugodę z władzą. Wielu pozostałych naprawdę na tym straciło. Na przykład mnie dość szybko,

² Związek Literatów Polskich.

bo przy pierwszej okazji (wyjazd służbowy na targi książki we Frankfurcie nad Menem) wyrzucono z pracy i obłożono zakazem zarówno zatrudnienia w medycynie, jak i drukowania, co po kilku latach okazało się w sumie likwidacją kariery literackiej. Tylko do Polskiego Radia jakoś słabo te restrykcje dotarły i puszczano moje słuchowiska; widocznie mieli tam swoich cenzorów „medialnych”, najwyraźniej słabo skomunikowanych z centralą przy ulicy Mysiej. Jeszcze wtedy nie było dobrze rozwiniętych i połączonych siecią, komputerowych baz nazwisk zakazanych. Opierano się na zawartości szaf, kartotek i raportów tajnych współpracowników.

Nadszedł jednak dzień 4 czerwca 1989 roku. Po nim kolejne dni przemian, odczuwanych co prawda jako wątpliwe, ale podszyte nadzieją. Najważniejsza cecha: wolność myśli. Trudno było się do tego przyzwyczaić, bo komuna nieraz już wracała w całej okazałości, jak na przykład w latach 1981-1982. Dlatego z wolnością słowa poczynaliśmy sobie ostrożnie. „Wszystko jest notowane pod twoim nazwiskiem” – mówiliśmy sobie w odniesieniu do zdarzeń Nieliterackich lub okołoliterackich. Wciąż były problemy z wolnością tekstów, w jakże częstych przypadkach spotykaliśmy się ze zjawiskiem ostracyzmu. To się nawet jakby nasilało. W niektórych wydawnictwach zachowywano się tak, jakby cenzura była nadal i w opracowywanych książkach skreślano całe fragmenty tekstów. Nie ma cenzury służbowej, jest społeczna, grupowa, przynależnościowa, edytorska.

W jednej z rozmów telefonicznych Tadeusz potwierdził to również swoją obserwacją: „Tak, czuję, jest wykluczanie nieswoich”.

Funkcjonowanie cenzury przeciągało się. Jeszcze w 1990 wydawnictwa odsyłały autorom maszynopisy jako niecenzuralne, niejako na wszelki wypadek, bo co będzie, jeśli zdarzenia po 4 czerwca 1989 okażą się mirażem, chwilową zmyłką?

Tak było naprawdę. Spotkało to na przykład moją powieść „Diabeł na placu Zbawiciela” i zbiór opowiadań „Raz jeden jedyny”. Choć wielu miało przekonanie, że nawet jeśli komuna się nie odrodzi (to znaczy jeśli szczególnie słynna dyrektwa „nowe wraca”), to w systemie zostali jej ludzie, dobrze umocowani, w dużej mierze nierozpoznawalni, ale nadzwyczaj skomunikowani komunikacją niewymagającą słów. W środowisku pisarskim zrobił się jednak ruch, literaci „bez przydziału” niecierpliwili się. Tadeusz, telefonując do mnie w sprawach czysto lekarskich, mówił też o problemach czysto artystycznych w sytuacji krystalicznie politycznej. Małomówny, w tym wypadku był gotów rozprawiać o tym, że mamy obowiązek pokazywać (po pisarsku wyławiać) to, co się dzieje przeciw [nam wszystkim] w Polsce. Trwające od dwóch lat próby odrodzenia poprawnej i koleżeńkiej, antykomunistycznej, a ściślej *antypolitycznej* organizacji pisarskiej, głównie w Krakowie, zaczęły urzeczywistniać cel w Warszawie. Tu odbyły się małe i duże zebrania robocze, dwa, trzy, pięć, w salach klasztoru żeńskiego na tyłach Krakowskiego Przedmieścia w okolicach kościoła Sióstr Wizek, a także w sali ZAiKS-u przy Hipotecznej 2.

Na jednym z wielkich i już końcowych zebrań założycielskich Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, kiedy odczytywano treść statutu opracowanego przez profesora Wiesława Chrzanowskiego, siedzieliśmy obok siebie, milcząc. Wszystko było jasne. W odpowiednich chwilach podnosiliśmy rękę do góry, głosując twardo za. W ten sposób stawaliśmy się członkami założycielami SPP. Z krzesłem zabranym z hallu przy szatni przyszedł Krzysztof Mętrak i dostawił się obok mnie, już przy ścianie, bo mimo dużej wielkości sali miejsca prawie nie było. Podał rękę. W pewnym momencie nachylił się do Nowaka i półgłosem zaczął objaśniać swoją myśl na temat tych, którzy od 1983 roku są, jak to się mówi, w neo-Złepie, ale „zrozumieli swój błąd i zechcą wrócić między swoich”.

Milczeliśmy, głosowaliśmy, tymczasem Tadeusz coś notował, potem przechylił się do przodu, pokazał kartkę Krzysztofowi i kiedy ten kiwnął głową z aprobatą, podał ją Marianowi, który zerwał się, by podbiec do stołu prezydialnego. Przewodniczący Artur Międzyrzecki, przeczytawszy rzecz, przekazał ją Jerzemu Sicie, a ten Jankowi Walcowi,

sekretarzowi prezydium. Kiedy to się dokonało, Artur uniósł ręce do góry i wypatrując na sali Nowaka z Grześczakiem i Mętrakiem, bezgłośnie zaklaskał w ich kierunku. Profesor Chrzanowski wpisał odpowiednią poprawkę do statutu i na tym debata prawnicza się skończyła.

Rozpoznawaliśmy tam dziesiątki przyjaciółek i przyjaciół, tych którzy byli na pamiętnym zjeździe w grudniu 1981, i tych którzy dawniej nigdy się nie udzielali, ale mieli nazwiska że ho, ho. Jeszcze przychodziły i przychodzili, jeszcze się dosiadali, stawiali oparci o ścianę. Tłum godny zapamiętania. Grześczak, siedzący w rzędzie przed nami, co jakiś czas rzucał celny komentarz, który wywoływał śmiechy. Ludmiła Marjańska zrobiła na kolanach stoliczek z dużej torebko-torby i rozłożyła ciasteczka własnej roboty. Czuliśmy się dobrze. Potem umówiliśmy się, że wspólnie spędzimy sylwestra w mieszkaniu Zosi i Tadeusza. Czyli: na Wiolinowej numer dwa!

– Parking z boku bloku – powiedział Tadeusz – ale lepiej dojechać autobusem ze względu na późniejsze zmiany w wydechu.

[31 grudnia 1989 r.]

Byłem tak zmęczony pracą w szpitalu, że po przyjeździe do Nowaków (a było dopiero koło siódmej wieczorem) dobrałem się do kozetki w mniejszym pokoju i ułożyłem na niej z kocem na kolanach. Małgosia, moja żona, w uzgodnieniu z Zosią, jego żoną, podciągnęła mi koc pod szyję i zasnąłem. Tak na chwilkę.

Obudziło mnie szarpnięcie. Zosia i Tadeusz, nachyleni wesołymi twarzami nade mną, pytali, czy czuję się lepiej. Bo jest już wpół do drugiej w nocy.

Przespaliśmy więc koniec starego roku o półtorej godziny. Boże, co za nietakt! Zerwałem się na równe nogi. Niektórzy sylwestrowicze zdążyli już wyjść, a ja w odpowiednim momencie wraz z racami na Ursynowie nawet nie uniosłem kieliszka!

Wtedy Tadeusz krzyknął:

– Muzyka stop!

A Grześczak:

– Kochani, Piotrek się spóźnił! Cofamy wskazówki o półtorej godziny, żeby i on mógł się z Nowym Rokiem przywitać!

Warszawa 1971, 1992, 1983 (scalone w 2021)